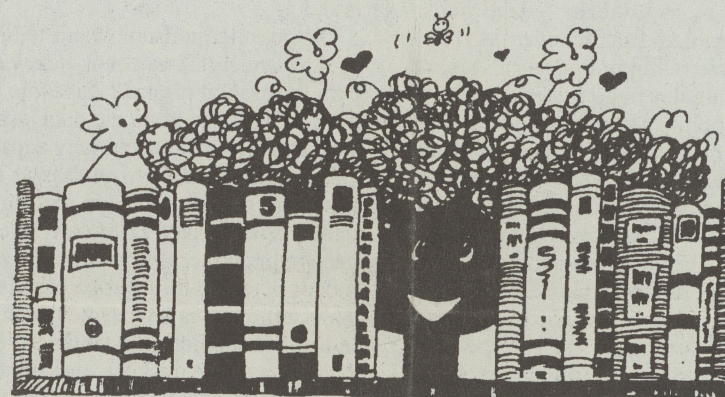


MAŁGORZATA MUSIEROWICZ

FRYWOLITKI (99)

czyli ostatnio przeczytałam książkę!!!



Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, od komputera robią mi się królicze, szkarłatne oczka, więc go starannie unikam. Jeśli bowiem chodzi o oczy, przywiązana jestem do koloru jasnoniebieskiego na białym tle, toteż nic mnie nie odwiedzie od wierności mej maszynie do pisania. Wystukawszy „Frywolitkę” ślę ją zaraz do redakcji „TP” za pomocą faksu. I tu się ujawnia jedyna wada mej pisarskiej metody. Gdybym słała teksty e-mailem, nie dochodziłoby do sytuacji suspensowych, kiedy to każdorazowo z duszą na ramieniu czytać muszę swój wydrukowany już felieton, drżąc, czy będą błędy, ile, i jak groźne. Być może mój maszynopis ulega, z winy faksu, lekkiemu zamazaniu, więc też wiele literówek wybaczam bez słowa skargi, ale – czy do prawdy korekta nie mogła dostrzec, że w tekście o Mozarcie („F” 98), w zdaniu „ogarnia nas bezgraniczny podziw dla fenomenu jego uniwersalności, nie mającej żadnej apologii” ostatnie słowo jest błędne i powinno brzmieć: a n a l o g i i ! I że nieśmiertelny kwartet z „Così fan tutte” zaczyna się od słów „E nel tuo, nel mio bicchiere”, nie zaś: „biechiero”? Może jestem drobiazgową, ale wydaje mi się to dosyć istotne.

W zasadzie mogłabym na tym zakończyć biadołenia i lamente, ale pozostaje jeszcze do skomentowania kwestia pory roku i związanej z nią pogody: poniżej krytyki, doprawdy! I kto ma to wytrzymać?! Podobno w Krakowie spadły bajeczne śniegi. Nie mogę tego powiedzieć o Poznaniu; mamy tu chmury tuż nad głowami, mrok przez większość dnia, wichury z północy i to, co gwara wielkopolska nazywa celnie chłabrą. Na działkę jechać nie ma po co i byłoby zupełnie nieznosnie, gdyby nie blask życia kulturalnego. Erwin Axer wyreżyserował w Teatrze Nowym komedię Georga Bernarda Shawa „Androkles i lew” (przekład Stanisława Barańczaka, scenografia Ewy Starowieyskiej, choreografia Ewy Wycichowskiej). Przedstawienie jest świetne – mistrz pokazał lwi pazur, że użyję niewyszukanej frazeologii. Mój podziw jest tym większy, że już wcześniej przeczytałam „Androklesa i lwa” (po raz pierwszy w życiu zresztą, bo w powojennych wydaniach Shawa, rzecz ciekawa, sztuki tej nie było) i wydała mi się ta komedia raczej blaha i odrobinę zwietrzała, jak zapasek we flakonie, zawierającym niegdyś modne perfumy. Erwin Axer udowodnił, że tak nie jest. Przynajmniej nie wtedy, gdy ON się bierze do odczytywania i opowiadania.

Sam Shaw wyznał, iż tylko dlatego oddał się twórczości dramatycznej, że znalazł w niej platformę do głoszenia prawd moralnych i społecznych, i że sam czuje, iż znacznie więcej ma w

sobie z kaznodziei, niż z autora dramatycznego. Przemysliwując nad problemami i wadami współczesnego sobie społeczeństwa angielskiego, w kolejnych sztukach dawał Shaw analizę błędów i schorzeń społecznych. Był przy tym na tyle zarozumiały, by do diagnozy dołączać własne propozycje leczenia i metod naprawy. Fabianin, socjalista, w młodości po lekturze „Kapitału” Marksa popadł w naiwny zachwyt; „Marks otworzył mi oczy na fakty historii i cywilizacji, dał mi całkowicie nową koncepcję wszechświata, obdarzył mnie celem i misją w życiu” – pisał. Kiedy po Rewolucji Październikowej fabianie atakowali ostro bolszewików, Shaw na otwartym zebraniu Towarzystwa Fabiańskiego wygłosił: „Jesteśmy socjalistami, strona rosyjska jest naszą stroną”. „Zapadła cisza pełna oszołomienia (Pearson; „Bernard Shaw”) lecz kiedy podjęto debatę, nikt już bolszewików nie atakował”. W roku 1931 G. B. Shaw odbył podróż do Związku Radzieckiego i tam obchodził 75. rocznicę swych urodzin. „Wszystko wydało mu się nowe i pełne nadziei” (Pearson). Trudno uwierzyć w zachwalane talenty Shawa w demaskowaniu fałszywych pozorów i obłud, gdy się zważy, że jesienią tego samego 1931 roku dał się na Ukrainie początek „żniw rozpacz”, które doprowadziły do śmierci – według różnych źródeł – od 3,3 mln do 15,2 mln ludzi. Trudno oprzec się wrażeniu, że Wielki Kpiarz i Demaskator zdzierzał, owszem, „płaszcz cnoty z tego, co się wzięło dla własnej korzyści przybrało”, lecz najlepiej mu to szło, gdy do zdemaskowania miał resztki obyczajowości wiktoriańskiej. Prawdziwa groza pozostawała poza zasięgiem jego ostrza. „Wesoło i błyskotliwie stawiał sceptyczne znaki zapytania nad wszystkim, nad życiem jednostek i społeczeństw” – pisze Edmund Misiulek w przedmowie do „Pigmaliона” (PIW, 1977). Nie postawił ani jednego nad nową, śmiertelnie niebezpieczną utopią, którą mu zademonstrowano w kuszących barwach. „I w życiu i w sztuce zachował

świeżość spojrzenia, które pozwala dostrzec prawdziwe oblicze rzeczywistości, dysproporcje między pozorami a prawdą” (Misiulek). Tak, rzeczywiście. Ale nie w ZSRR. Tak Wielki Kpiarz był jak małe dziecko w rękach swych złowieszczących gospodarzy, a jego przenikliwa inteligencja z niezbadanych przyczyn nie była zdolna przeniknąć przedstawionych mu pozorów i dostrzec tego, co się za nimi czaiło. Dreszcze chodzą po plecach, gdy się pomyśli o rozmiarach jego intelektualnej porażki. Trudno też nie odnosić się z pewną nieufnością do innych, stawianych przez autora „Szczygłego zaułka” z taką niezbitą pewnością, teorii i recept. Zresztą, być może każdy twórca, usiłujący wypisać recepty na zło świata, jest równie naiwny jak G. B. Shaw. Może po prostu należy tylko stawiać odważne pytania, a z pokorą wystrzegać się dawania przemądrzałych odpowiedzi?

Ale pokora nie leżała w naturze tego człowieka. Sam się porównywał z Szekspirem. „Wielki inkwizytor mieszczaństwa (jak pisał Antoni Słonimski w »Gwałcie na Melpomenie«), rewolucjonista, milioner, wegetarianin, poeta businessman, wiecznie młody i stary”. G. B. Shaw był człowiekiem pełnym wigoru i rozmachu, wyzywającym ekscentrykiem słowa, uczciwym i przepełnionym słusznym gniewem moralistą, nieco też zaślepionym własnymi teoriami.

„Sztuka ta dzisiaj przypomina świetne malowidło, częściowo rozmyte przez deszcz – pisał w roku

1933 Antoni Słonimski, recenzując powstałą w 1906 sztukę „Major Barbara”. – „Nie przez zwykły, szary deszcz czasu. To był deszcz krwi wielkiej wojny światowej. Shaw widział rąbek tego księżycy, który blaskiem upiornej pełni oświecił Europę, zalaną krwią. (...) Bawiąc się po omacku klawiaturą przyszłych zdarzeń irytuje nas niejednym fałszem, ale i zadziwia często trafnością uderzeń”. A w recenzji z „Człowieka i nadczłowieka” pisał Słonimski (swoją drogą – cóż to za cudowna lektura, ten zbiór recenzji, wydany przez Czytelnika w roku 1959!): „Intelektualne zalety tego pisarza, mądry dowcip i wdzięk nie fałszowany, okupuje najzupełniej jego przystawione gadulstwo. Starec ten bowiem nigdy, nawet w młodości nie odmawiał sobie rozkoszy wyczerpania raz poruszonego tematu. Elokwencja ta jednak nie jest nudna – zawsze słuchamy go z przyjemnością, nieraz z najwyższą satysfakcją”.

Rzeczywiście – postacie Shawa nie tchną życiem, a zaledwie ucieleśniają różne jego koncepcje intelektualne. Ale zarazem wnoszą tyle jasności, inteligencji i wesołości, tak zręcznie demonstrują i konfrontują różne idee i postawy życiowe, że w efekcie budzą sympatię i skłaniają do myślenia. „Każdy żart jest zarodkiem poważnej myśli w tonie czasu” – pisał Shaw. Niekoniecznie każdy, dorzucić możemy my, żyjący w latach obecnych, mieszkańcy schamiałych miast, ale na pewno każdy dobry. Żarty Shawa, jego ironia i odważna satyra, jego apele do sumienia i do rozsądku, jego chłodne i uszczypliwe widzenie świata, z pewnością i dziś zrodzą niejedną poważną myśl. Zwłaszcza, że „Androkles i lew” odczytany przez Erwina Axera i opowiedziany w jemu tylko właściwy sposób – spokojny, mądry i wyważony, ironiczny i zarazem pełen pobłażliwego ciepła oraz elegancji bardzo miłej i ujmującej – nieoczekiwanie okazał się sztuką całkiem aktualną. Osadzony w realiach starożytnych czytelny wykład o zachowaniu się człowieka w obliczu przemocy, pełna gama postaw ludzi, de-

klarujących się jako chrześcijanie, rozprawa o wolności, godności i dumie („Chodź ze mną i rzuć szczyptę kadzidła na ołtarz. Tylko tyle – i wychodzisz na wolność” – mówi nadzorca do Androklesa, przeznaczonego na arenę, gdzie mają go rozszarpać lwy), o słabości i jej przezwyciężaniu – pod ręką Erwina Axera rozkwitły w pełne czaru przedstawienie. Zachwyciło ono dzisiejszą premierową publiczność, tak jak w roku 1964, gdy Axer wystawił tę sztukę w Warszawie. „Okazało się, że są u nas nie tylko chrześcijanie, ale jest i cesarz, a nawet kilku czy kilkunastu, którzy się mają za cesarów. Chrześcijanie i poganie sto kilkadziesiąt razy wypełnili widowie, cesarowie i dworacy – tych było wielu – obrazili się na nas. Był czas względnej odwilży i teatr uszedł cało. Upewniłem się wtedy, że bajka filozoficzna opowiedziana z odrobiną humoru bywa aktualna w każdej sytuacji i o każdym czasie” – pisze Erwin Axer w tekście „Od reżysera”, zamieszczonym w programie poznańskiego spektaklu. – „Bajka nie straciła na aktualności, choć tym razem – być może – nikt się na nas nie obrazi”.

To się dopiero okaże.

Na premierze, w każdym razie, wszyscy bawili się wspaniale tym błyskotliwym przedstawieniem, zmierzającym do wdzięcznego finału z lekkością i nieomylną precyzją. Doskonale skonstruowane, zajmujące i zabawne, spowodowało owację na stojąco i pozostawiło zachwyconą publiczność w pysznym humorze. Zachwyt ten obejmował także znakomitą scenografię Ewy Starowieyskiej, pełną prostoty formy i wyszukanego przepychu barw, pomysłów i bogatą w skojarzenia, bardzo funkcjonalną. Sympatyczny lew, przez panią Starowieyską zaprojektowany, a wytworowany przez Ewę Wycichowską zapracował na eksplozję śmiechu i brawa. Co do zespołu aktorskiego – dał prawdziwy koncert gry, od ról głównych po nieme epizody. Jednym słowem, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, musicie tu koniecznie przyjechać. Wierzcie mi, że warto. Po takim przeżyciu teatralnym (zwycięstwo myśli i stylu, logiki i dowcipu, zabawa w dobrym guście, a oprawa plastyczna – w najlepszym) człowiek czuje się podniesiony na duchu (a czy dużo dziś mamy powodów do takiego stanu?) i wręcz ocalony z odmetów głupstwa, grubiaństwa i brzydoty, które go otaczają, jak wody potopu.

Dla tych samych celów należy koniecznie przeczytać Słonimskiego „Gwałt na Melpomenie” – dwa tomy Czytelnika z roku 1959, lub (o tej samej zawartości) Wydawnictw Artystycznych i Filmowych, 1982. Ten to się w ogóle nie starzeje!

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ